

208
Dmuszewski Popolite
ruszenie.

W MEDYCYNIE

w DZIELEH BATAK

Wystawione w Warszawie

Dzielnicy m. Warszawskiej

Dzielnicy m. Warszawskiej

W WARSZAWIE

<http://rcin.org.pl>

POSPOLLTE
RUSZENIE
KOMEDYO-OPERA

w DWOCH AKTACH.

Wystawiona pierwszy raz na Teatrze
Narodowym Warszawskim
Dnia 1 Maja 1807.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

w WARSZAWIE.

W Drukarniach połączonych GAZETY WARSZA-
WSKIEY i Sukcessorów TOMASZA LE BRUN.
<http://rcin.org.pl>

O S O B Y.

PAN SZTEINBRUMER przeszły

Justyc Rath . . . *ŹPan Zołkowski.*

FRYDERYK)
EMILIA) iego dzieci *ŹPan Szymanowski.*
ŹPani Dmuszewska.

BROWIUS Kreis-Rychter, na-
ręczony Emilii . . . *ŹPan Zieliński.*

POCZWIWSKI Ekonom . . . *ŹPan Kudlicz.*

KAZIMIERZ Syn iego . . . *ŹPan Dmuszewski.*

KRYSTYAN)
JOHAN) służący Sztein- *ŹPan Koch.*
LIZETA) brumera *ŹPan Krzeciński.*
ŹPani Zielińska.

RYCERSTWO Pospolitego Ruszenia z Woiewodz-
twa Mazowieckiego.

GOŚCIE z sąsiedztwa płci oboiej.

KOZACY.

Scena w Ziemi Ciechanowskiej.

Rzecz się dzieie w Mcu Grudniu 1806.

*Teatr wystawia Sałę śrzedkową miesz-
kania Pana Szteinbrumera.*

JASNIE WIELMOZNNEMU
JANOWI HRABIE
OSSOLINSKIEMU
STAROSCIE DROHICKIEMU,
PREZESOWI SĄDU APPELLACYINEGO
DEPARTAMENTU WARSZAWSKIEGO,
ORDEROW POLSKICH
KAWALEROWI,

W chwalebne ślady Cnot i Patryoty-
zmu sławnych swych Przodków godnie
wstępuiącemu

OFIARUIE

Nayobowiązańszy i nayniższy
sługa

L. A. Dmuszewski.



POSPOLITE RUSZENIE.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

EMILIA i KAZIMIERZ.

EMILIA.

Przecież jedna szczęśliwa chwila, w której ciebie dobry Kazimierzu widzieć i choć kilka słów z tobą mówić mogę.

KAZIMIERZ.

O zapewne szczęśliwa, ah Pani! ta chwila jest dla mnie tak drogą, tak... nie stety! natychmiast ona przeminie, i znowu biedny Kazimierz zostanie pogrążony w smutek zawsze go pożerający.

EMILIA.

Pocziwy chłopcze, iak to? nie masz nadzieie, aby twój smutek kiedy się zakończył?

KAZIMIERZ.

Pani!.... Emilio! rozkazałaś bowiem tak się nazywać,... szanowna Emilio, już to trzeci miesiąc upływa.... oh ten dzień pamiętny... ten dzień święty...

EMILIA.

Chcesz mówić o tym dniu, w którym ocaliłaś mi życie. —

KAZIMIERZ.

Jam ci Emilio ocalił życie? możeszże sama wyznać, żeś mi ie winna?

EMILIA.

Rózhukane konie już już miały mój powoz wnieść na most zruynowany, bez wątpienia stałabym się ofiarą strasznego przypadku, gdyby nie twoja odwaga. — Oh Kazimierzu! możeszże być smutnym pomniąc na to, że ci oyciec winien uratowanie swej córki, a ta córka swoje zdrowie, życie i...

KAZIMIERZ.

Na Boga zaklinam cię, dokończ, coś miała teraz powiedzieć?

EMILIA.

Kazmierzu bądź zdrów... już dziesiąta... stara Gertruda bardzo chora; muszę iey lekarstwo przygotować.

KAZIMIERZ.

Emilio! Emilio! cała wieś doznaie twoiej opieki, dla wszystkich iesteś czułą matką, dla wszystkich staiesz się wsparciem i pociechą, ja tylko ieden biedny....

EMILIA.

Ah Kazmierzu!

KAZIMIERZ.

Ale zbliża się koniec moich udręczeń; wkrótce....

EMILIA.

Przebog! cóż to ty zamyślasz?

KAZIMIERZ.

Dopełnić chwalebney powinności. —

EMILIA.

Nie rozumiem cię... miałżebyś nas opuścić?

KAZIMIERZ.

Muszę to uczynić iako Polak i iako nieszczęśliwy kochanek. — Daruy Pani temu wyznaniu, jest one ostatnie, nie będziesz mi już więcey wyrzucać zbyteczney

śmiałości. — Emilio! twoja dobroć pozwoliła mi z tobą mówić otwarcie; — kocham cię... bo któżby nie kochał twoje cnoty; ktoby nie uwielbiał twą dobroć? kochać cię do ostatniej chwili życia mego nie przestanę, i tego nikt mi zabronić nie zdoła; nie mogę cię posiadać, bo los ci przeznaczył urodzić się dziedziczką bogacza, a mnie tylko synem poczciwego nędzarza; — lecz... jeszcze raz proszę Pani! daruy temu uniesieniu, nie narażę cię nigdy na....

EMILIA.

Dobry człowieku!... o Boże! iak to? ty nas chcesz opuścić? a iakże jesteś niesprawiedliwym... ty w całym domu ieden prawdziwy mój przyjaciel, ty tak kochany od wszystkich, pilny; pracowity, poczciwy, ty nakoniec mój drogi obrońca... Przebóg ty płaczesz!... ah! ja nie iestem przyczyną tych łez bolesnych!...

KAZIMIERZ.

Emilio!... ty iednak tylko, ty sama możesz ie zatrzymać.

EMILIA.

Mów! przez iaki sposób?

KAZIMIERZ.

Jedno tylko słowo żądam z ust twoich usłyszeć!

EMILIA.

Niedobry... dla czegoż mnie tak dręczysz, iakież to słowo jest tak pożądanym dla ciebie?

KAZIMIERZ.

Oprócz wdzięczności na większe u ciebie zasłużyłem względy.

EMILIA.

Jakichże ty wymagasz? -

KAZIMIERZ.

O Boże! mamże powiedzieć..... ale twoje oczy... Emilio! możeszże mnie kochać?...

EMILIA.

(po długim milczeniu z stałością.)

Pierwsza to jest chwila w życiu moim, w której doznaję nieznanego mi dotąd wzruszenia; — próżnobyłm nakoniec ukrywać to, co już bez wątpienia dostrzegłeś. — Miłość moja jest czysta; kocham pierwszy raz, kocham człowieka, który dla swoich przymiotów duszy i serca staie się coraz

godniejszym tak prawdziwey miłości....
ależ niestety!..

KAZIMIERZ.

Wiem co mi masz powiedzieć; to wyznanie napełnia mnie radością przewyższającą te wszystkie, jakich śmiertelny może doznawać, lecz okropny smutek niszczy ją natychmiast; słyszę z ust twoich wyrok mnie uszczęśliwiający, i zaraz muszę wiedzieć, że cię nigdy posiadać nie będę; o czemuż nie żyjemy w tych szczęśliwych czasach, kiedy tylko cnota kojarzyła małżeństwa! — Emilio kochasz mnie tedy?... Kochasz syna ubogiego Ekonomia, a wkrótce zostaniesz żoną bogacza.

EMILIA.

Nie... nie... to nie nastąpi nigdy.

KAZIMIERZ.

Pan Browius nagli o przyśpieszenie ślubu, ma on nastąpić w tych dniach, przygotowania wszystkie do wesela już poczyniono, zaproszono gości z sąsiedztwa...

EMILIA.

Jeśli mnie nieba nie przeznaczyły dla ciebie; jeżeli utracę całą nadzieję, abym zo-

stała twoją małżonką, to przysięgam na Boga, nie oddam ręki innemu. Znam charakter mego oycy, aż nadto iestem przekonaną, że nie odmieni swego przedsięwzięcia; wiem to, żem mu winna bydz posłuszną, ale mamże się przez to uczynić naynieszczęśliwszą. Bądź pewnym, że nie otrzymawszy skutku mych życzeń, - znajdę sposób umrzeć dla ciebie wierną.

DUETTO.

EMILIA i KAZIMIERZ.

O iak przyjemne roskosze
Sprawia mi twoie wyznanie;
Ta boleść którą dziś znosze,
Może choć kiedyś ustanie.
Zadne nie są wieczne żale
I nam szezęście zaiśnienie,
Kochając się zawsze stale
Ziścim żadaną nadzieie.

(*Emilia odchodzi.*)

SCENA II.

KAZIMIERZ *sam.*

O bodayby wszystkie kobiety były tobie podobnemi!

S C E N A III.

KAZIMIERZ i POCZCIWSKI.

POCZCIWSKI.

Coż to synu? ciebież ia to zastaię w tym mieyscu? zapomniałżeś, że ci niewolno pokazywać się w pałacu!

KAZIMIERZ.

Ostatni raz iestem w nim mój oycze.

POCZCIWSKI.

Słusznie! gdzie nie cierpią uczciwych ubogich, niech się przekonaią, że sprawiedliwa wzgarda, dumę upokorzyć może. Pan Szejnbrumer wczoray obszedł się zemną w sposobie za nadto grubiańskim; wyrzucił mi twoią niesłychaną zuchwałość, żeś śmiał pomyśleć, iż możesz kochać iego córkę, oddalił mnie od swoich usług, i rozkazał, abyśmy dziś opuścili iego dobra. Przykro mi doświadczać podobnego igrzyska losów, ale z radością miałem opuścić ten dom, w którym służyć i ulegać było i tak dla mnie hańbą, gdy oto przyszły zięć tuteyszego dziedzica uczynił mnie więźniem.

KAZIMIERZ.

Więźniem? iak to mój oycze?

POCZCIWSKI.

O mój synu! kiedyś pierwszy raz ujrzał światło słoneczne, promienie jego jaśniały w szczęśliwej twojej oyczyźnie. Był to rok 1786. — Wkrótce rozpoczął się ów Sejm pamiętny, na którym gorliwi Polacy po długim letargu odgłosem swych sławnych przodków przebudzeni, zrzucali iarżmo tyrańskie dumnych sąsiadów i ustalali najpiękniejszy rząd dla swego kraju. O jak się cieszyłem z narodzenia twego! Synu, mawiałem skrapiając lice łzami radości, żyć będziesz w czasach najszczęśliwszych dla Polski i chlubić się będziesz, że Opatrzność pozwoliła ci urodzić się Polakiem. Wzrastasz na to abyś się pomścił krzywd wyrządzonych twej ziemi, abyś rozszarpane jej części, wraz z innymi rodakami odzyskał, abyś wstępował w ślady Tarnowskich, Chodkiewiczów, Żółkiewskich i Czarneckich.

KAZIMIERZ.

Zda mi się, że lat 5. miałem wtenczas, kiedyś mój Oycze pojechał do Warszawy — wziął mnie z sobą.

POCZCIWSKI.

Pamiętasz Kazimierzu, iak byłeś zemną w Izbie seymowey?

KAZIMIERZ.

Oh nadto wielkie ten poważny widok sprawił na moim umyśle wrażenie, abym mógł kiedy o nim zapomnieć. — Tu oto siedzi, mówią mi, szanowny starzec, Małachowski Marszałek tych obrad, wszystkie dni swoje poświęcający usłudze krajowey, zbyt słusznie zwany przyjacielem ludu; ten poważny Polak, co przestał teraz mówić, iest to wymowny Sapięha, Demostenesem Sarmackim nazwany. — Ci znani z patryotyzmu Posłowie, Potocki, Krasiński, Zakrzewski, Sołtyk, Niemcewicz, Matusiewicz, Wawrzecki, Korsak.

POCZCIWSKI.

Tak mój synu, imiona tych prawodawców wnuki wnuków naszych z uwielbieniem wspominać będą. — Nastąpiła woyna, woyna w chwalebney i słuszney sprawie ocalenia praw krajowych i odparcia napastników rozpoczęta; Bóg błogosławił iey początkom.

KAZIMIERZ.

Pod Dubienką mój oycze, nieprawdaż, pod Dubienką to okazali Polacy, iak honor i miłość Ojczyzny są im drogiemi; tam to męstwo Sobieskiego panowało w sercach naszych rodaków; tam to musieli przypomnieć Moskale owe czasy, kiedy Sarmaci byli Panami ich stolicy, kiedy ich Carów iako ieńców Warszawa widziała w swych murach.

POCZCIWSKI.

Ależ niestety! o straszne wspomnienie! chytry i dumni nieprzyjaciele, bardziej starali się rozsiać niezgodę pomiędzy nami, niż mogli pokonać nas orężem, dokonali swych haniebnych zamiarów; smutek okrył ziemię Piasta, ale miłości teyże ziemi i gorliwości iey mieszkańców nic zmienić nie mogło. — Krakowianie pierwsi podnieśli oręż na skruszenie najsromotniejszych więzów, za ich przykładem poszły wszystkie Województwa. Obrońca swobody Sarmatów, postrach naszych tyranów, waleczny Kościuszko, przedsięwziął albo ocalić naród, albo zginąć z honorem z orężem w rękę. — Każdy poczciwy Polak

łączył się z obrońcami narodu, każdy z nich poświęcił życie i majątek; — opuściłem moją wioskę, wsiadłem na konia i walczyłem wszędzie.

KAZIMIERZ.

A wiem mój oycze, wszak byłeś pod Racławicami.

POCZCIWSKI.

Tam odniosłem tę bliznę.

KAZIMIERZ.

Tam byłeś świadkiem męstwa naszych woźników. — A pod Szczekocinami, nie prawdaż mój oycze, iak się żwawo Krakowianie uwiiali.

POCZCIWSKI.

Regiment Wodzickiego cadów dokazywał.

KAZIMIERZ.

Wszakże także byłeś mój oycze w Warszawie pod czas oblężenia.

POCZCIWSKI.

Cały czas walczyłem obok okrytych chwałą regimentów gwardyi, Działyńskiego i walecznego korpusu artylleryi.

KAZIMIERZ.

Co to musiał być za tryumf, kiedy potężna armia nieprzyjacielska, po dwumiesięcznym szturmowaniu, ze wstydem cofnąć się musiała. — Łęczycanie, Kaliszanie i Sieradzanie okazali się prawdziwie gorliwymi w tej sprawie, nie także mój oycze?

POCZCIWSKI.

Wszyscy, wszyscy mój synu. Poszedłem potym z mężnym Dąbrowskim pod Bydgoszcz, ach Kazimierzu, ostatnia to była dla mnie chwila radości! — wiesz o zdradzie Macieiowickiej. — Matka twoja wraz z tobą znajdowała się na Pradze. — Czwartego Listopada tyrani odebrali jej życie, ty nawet siedmioletni chłopiec, stałeś się ofiarą barbarzyńskiej i nieludzkości.

KAZIMIERZ.

Nie przepuszczano nawet niezdolnym się bronić, skłoty byłem kilkakroć; ale nie byłbym Polakiem, gdybym się nie pomścił krzywd naszych.

POCZCIWSKI.

Owdowiały i strapiony, udałem się do mojej wioski, ale ją, i to wszystko com

posiadał, niesyty nieprzyjaciel przywłaszczył sobie; dziedzictwo nasze nabyte przez walecznych przodków odwagą i cnotą, zostało oddane okrutnemu niszczycielowi naszych braci. — Pozbawiony wszystkich sposobów utrzymania się, w służbie ich szukać musiałem: mając dawniej dwóch ekonomów, sam nim zostać byłem przymuszonym. — Dopelnienie przyjętych na siebie obowiązków, zatrudnienie się twoją edukacją, i nadzieia, że chociaż nie ja sam, to przynajmniej ty doczekasz szczęśliwszych czasów, osładzały gorycze dni moich.

KAZIMIERZ.

Ta ostatnia już ziszczoną została, nadzieia, droga nasza nadzieia, ziszczoną została. — Pomimo niedowierzania tutejszego dziedzica, pomimo najmocniejszego starania, aby ukrzyć przed całą wsią te wieści, jakie nas dochodzą, powszechnie mówią, że Zwycięzca i Podziw świata, Pogromca ciemnocyfeli ludzkości, Wskrzesiciel upadłych narodów, Wielki NAPOLEON uznał sprawę Polaków za najsłuszniejszą, i już wyrzekł święte słowo,

przywracając nam dawny byt i chwałę.
Województwa Wielko - Polskie, już po-
wstały, już tam jaśnieje biały Orzeł; —
wkrótce i u nas....

POCZCIWSKI

(w przepełnieniu radości.)

Synu! Synu! możeż to być.... ja
mam jeszcze nazywać się Polakiem? Bo-
że! któremu się podobało na kray nasz ty-
le nieszczęść zsyłać, okaż się nakoniec lito-
śnym takim, jakim byłeś dla Bolesławów
Zygmuntów i Sobieskich. — Synu, niech
tylko uyrzę Orła białego, niech uyrzę mo-
ją ziemię rządą i wolną od iey ciemię-
życielów, i niechay natychmiast umieram.

KAZIMIERZ.

Oycze mój, masz opuścić ten dom;
idźmy łączyć się z powstającemi, bo
któżby nie szedł bronić Ojczyzny, kie-
dy nastąpiła pora iey bronienia.... lecz
twój wiek.... osłabione siły.... ah ja to,
ja winienem zastąpić i ciebie.

POCZCIWSKI.

Nie synu. — Wszyscy, wszyscy mło-
dzi i starzy, poydziemy. Nasi przodko-
wie okryci siwizną walczyli mężnie i po-

konywali nieprzyjaciół, nam ich naśladować należy.

(z płaczem ścisku syna, oba wznoszą ręce do góry i śpiewają następującą strofę Krasickiego.)

Święta miłości kochanej Ojczyzny,
Czują cię tylko umysły poczciwe,
Dla ciebie zjadłę smakuią trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe:
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny;
Gniezdzisz w umyśle roskoszy prawdziwe,
Byle cię tylko można wspomoc, wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać.

POCZCIWSKI.

Dziś ten dom opuszczamy i... ależ Kazimierzu! o przykre przypomnienie! — Wspomniałem ci, że Pan Browius uczynił mnie więźniem; rzecz się tak ma: przyjąwszy służbę u Pana Szei:brumer byłem jeszcze przyciśniony długiem, wynoszącym wprawdzie tylko sto talarów, ale nie wypłacenie ich przyniosłoby upadek poczciwemu wierzycielowi. — Pan Browius w nadziei zostania mężem Emilii, a zatym otrzymania z nią wielkiego posagu, starał się uiąć sobie wszystkich domowych, wi-

dział moje zmartwienie, a dowiedziawszy się o iego przyczynie pożyczył mi sto talarów; wczoray gdy ciebie oskarżono o miłość niewczesną do iego kochanki, uniosł się aż do słów obelżywych, dodając, że jeśli dziś nie wypłacę iego należytości, bez żadnego względu uwięzić mnie rozkaże, co iako sędzia łatwo uczynić może.

KAZIMIERZ.

Co słyszę?

POCZCIWSKI.

Nie mogę ztąd odejść nie wypłaciwszy mu się; nie zniósłbym, aby ten cudzoziemiec tak dumnie miał nademną przewodzić, albo aby mógł plamić mój nieskażony honor; trzeba nam szukać sposobów dopełnienia naszej powinności bez żadnego zawodu. — Biedny chłopcze, czuję twoją boleść, iakiey doznasz oddalając się od Emilii: gdybyś mi się dawniey powierzył, podałbym ci zbawienne rady; wiem, żeś tak daleko zaszedł w twoiey miłości, iż trudno abyś był spokojnym oderwany od twoiey kochanki.... lecz Pan Szteinbrumer nadchodzi, oddalmy się; — w krótce powrócę zdać mu rachunki. *(odchodzi.)*

S C E N A IV.

SZTEINBRUMER i BROWIUS.

BROWIUS.

Panie Szteinbrumer, objaśniemy się dobrze, iak się cała rzecz ma.

SZTEINBRUMER.

Patrz WPan uniwersał iakiegoś Woiewody Gnieźnieńskiego, aby każdy dziedzic siadał na konia, albo dał zastępcę. *2^{do}*. Surowy rozkaz iakiegoś Rotmistrza czy Generała, abym ia dał za siebie dwóch zastępców. Cóż WPau na to mówisz?

BROWIUS.

Cóż mam mówić? trzeba byđż posłusznym.

SZTEINBRUMER.

Jakże chesz WPan, żebym przeciw memu Królowi?...

BROWIUS.

Nie chcą oni W Pana, bo im się na nic nie zdasz, ale chcą ludzi, z iakiego kraiu żyjemy, temu trzeba podlegać.

SZTEINBRUMER.

Alboż to nie kray mego Króla? cóż WPan mówisz Panie Browius?

BROWIUS.

Panie Teściu! mówmy szczerce, nikt nas nie słyszy. Co robimy w tym kraju? iak on był nabyty, moc dała prawo; siła znika, prawo upada. Każdy odbiera co jego.

SZTEINBRUMER.

No! no! zapłacą nam Panowie wy-chrzyciele.

BROWIUS.

Cicho Panie Teściu! żeby sobie dawne-go nie przypomnieli; świat się kołem obraca.

SZTEINBRUMER.

Ale cóż tu robić z temi zastępca-mi? Na nieszczęście Huzary nasze wy-maszerowali.

BROWIUS.

Mała nadzieia, Panie Teściu, mała na-dzieia, lepiej bądźmy spokojnemi.

SZTEINBRUMER.

Tak, alboż nas spokojnemi zostawią, alboż się mścić i prześladować nas nie będą?

BROWIUS.

Znam ja charakter tego Narodu, nie jest mściwy i w szczęściu krzywd łatwo zapo-mina. Umie nawet oddać sprawiedliwość

tym, którzy sobie dobrze postępowali, szacnie wartych szacunku; tym czasem nie chciałeś wierzyć, że Francuzi są w Berlinie.

SZTEINBRUMER.

I jeszcze nie wierzę, oni tam byź nie mogą.

BROWIUS.

A w Poznaniu?

SZTEINBRUMER.

Co to, to nie prawda.

BROWIUS.

A przecież WPana szwagier z Gniezna pisał, że dwóch Burmistrzów jako szpiegów rozstrzelali.

SZTEINBRUMER.

Cicho! nie gaday tego głośno.

SCENA V.

DAWNI i KRYSZYAN.

KRYSZYAN.

Łaskawy Panie! żołnierze przyiechali do naszej wsi.

SZTEINBRUMER, (*z radością.*)

Żołnierze? a widzisz Panie Zięciu, ja zawsze mówię, żeś WPan tchorz, lada cze-

mu uwierzysz, a iacyż to żołnierze? zapewne Huzary powrócili?

KRYSTYAN.

Ey gdzie tam, to są żołnierze Polscy, oy paradneż to chłopcy, i ubrane ślicznie i grzeczne, a co naybardziej widać na ich twarzy, męstwo nielada.

SZTEINBRUMER.

Zwaryowałeś, musisz powracać z karczmy.

KRYSTYAN.

A stanęło ich także parę i w karczmie, cała wieś, starzy i młodzi, męszczyni i kobiety porzucili robotę, zbiegli się ku nim, skaczą i płaczą z radości, a wszyscy wołają całą gardzielą: Wiwat Polacy!

BROWIUS.

A co Panie Teściu?

SZTEINBRUMER,

(*cicho do Browiusa.*)

Ogłupiałeś Panie Zięciu, cicho przynajmniej gadaj, nie trzeba dać poznać, że się obawiamy.

KRYSTYAN.

Powiem też Panu w sekrecie, tylko bez urazy, chłopci nienaylepszą dają o Panu rekommendacyą przed temi żołnierzami.



SZTEINBRUMER.

Pójdź przecz.

KRYSTYAN.

Pójdę na powrót, bo się tym ślicznym chłopakom napatrzeć nie mogę, oy będąż wrzeszczał wiwat Polacy! (odchodzi.)

S C E N A VI.

SZTEINBRUMER i BROWIUS.

BROWIUS.

A co Panie Teściu?

SZTEINBRUMER.

Oszalały chłopcy! gotowi iakie głupstwo zrobić.

BROWIUS.

Ja zawsze radziłem łagodnie się z temi obchodzić ludźmi, a WPan tutejszych rolników chciałeś tylko uważać za ludzi wartych, aby....

SZTEINBRUMER.

Czy mi cię diabli nadali z temi uwagami w takim czasie; oto myślmy o zastępcach, lubo ia wiem, że to napróżno; popamiętają wartogłowy swoją swawolę, iak przyidą nasze Huzary, ale tym czasem mo-

gą mi iakiego figła wyrządzić. — Kogoby to naprędcie wybrać, co WPan mówisz?

BROWIUS.

Ja dalibóg nie wiem — Chłopów podobno nie wolno. —

SZTEINBRUMER.

Toć też to — aha dobra myśl, wyszłę ekonoma i iego syna. —

BROWIUS.

Panie Teściu, on mi winien sto talarów.

SZTEINBRUMER.

No, to chyba WPan sam musisz wyręczyć Teścia.

BROWIUS.

Nie, nie, nie.... wolę stracić sto talarów.

SZTEINBRUMER.

A potym ieszcze iedna dobra uwaga; WPan wiesz, że moja córka kilka lat bawiła się przy tey, iak to ią tu zwoią Kasztelanową Staropolską, dziewczyna przeięła wszystkie tuteysze zwyczaje, iak to WPan sam wiesz naylepiey, tak dalece, że iuż przed kilką osobami powiedziała, iż wołałaby póysć za syna mego ekonoma, niż za Jego-

mość Pana Frydrycha Andreasa Browius,
Kreysrychtra alias WPana. —

BROWIUS.

Co za głupstwo.

SZTEINBRUMER.

Otóż trzeba się tego chłopca pozbydź,
nie prawdaż?

BROWIUS.

Masz WPan recht Panie Teściu, więc
zróbym to.

SZTEINBRUMER.

Poszliymy po nich kogo. — Hey Kry-
styan!

BROWIUS.

Czy zapomniałeś Panie Teściu, że on
poszedł krzyceć wiat Polacy!

SCENA VII.

DAWNI i KRYSZYAN.

(*przynosząc List.*)

KRYSZYAN.

Musiałem się wrócić przypomniawszy
żem miał Panu oddać list, który Amtman
Kerkeł przysłał.

SZTEINBRUMER,

(*przeczytawszy list, mówi z radością.*)

Panie Zięciu wiktorya! dobra nasza; Amtman Kerkeł donosi, że Kozacy są w iego Amcie, oho! poczekajcie panowie nowo upiekli żołnierze, nie długo tu gościć będziecie.

KRYSTYAN.

Powiadali też ci nowo upiekli żołnierze, że wiedzą o Kozakach i życzą bardzo zayrzeć im w oczy — a ieden z nich musi to bydź starszy, otóż on mówił, że już przywiózł mundury dla tych żołnierzy, których tuteyszy dziedzic, to jest zapewne łaskawy Pau powinien dostawić.

SZTEINBRUMER.

Nie chcę, nie chcę, nie chcę, żeby on tu przyszedł (*w ambarasie*) zaraz... zaraz... wołay mi... ależ Kozacy, co mówisz Panie Zięciu?

BROWIUS.

Ja mówię Panie Teściu, że Kozacy są o trzy mile od nas, a ci o których Krystyan wspomina, są w naszej wsi, pomiarkuy więc sam, kto z nich wprzód do dwóru przyiść może.

SZTEINBRUMER.

Prawda — wołay mi ekonoma i iego syna.....czekay — ależ oni uciekną, iak się dowiedzą o Kozakach.

KRYSTYAN.

Bardzo wątpię, żeby oni mieli uciekać, bo to zuchy ogniste, kilku z nich iak zaczęli machać pałaszami....

SZTEINBRUMER.

Co ty mówisz, mają oni pałasze?

KRYSTYAN.

Oho, nietylko pałasze, mają pistolety.

SZTEINBRUMER.

Pi pi pistolety? Panie Zięciu słyszysz?

BROWIUS.

Słyszę Panie Teściu?

KRYSTYAN.

Teraz nabiiali pistolety.

SZTEINBRUMER.

I nabiiali ieszcze? wołay mi ekonoma i iego syna!

KRYSTYAN.

A otoż oni idą obydwu. (odchodzi.)

S C E N A VIII.

SZTEINBRUMER, BROWIUS, POCZCIWSKI i
KAZIMIERZ.

POCZCIWSKI.

Przyniósłem Panu rachunki całoro-
czne.

SZTEINBRUMER.

No, no, Panie Ekonomie potym o tym;
ja wiem żeś mi W Pan wiernie służył, za-
pomniymy o wczorayszey bagateli; trochęm
się rozgniewał na twego syna, ale to już
przeszło; dobry z niego chłopiec. Pogodź-
my się Panie Kazimierzy, znowu będziem
z sobą co rano sznaps zapijać; pamiętam ja
o tym dobrze, żeś się przyczynił do urato-
wania moiey córki przed trzema miesiąca-
mi, a prawdę mówiąc i wtenczas mnieś
rozniewał, kiedyś nie przyjął w nadgodę
dwóch talarków.

KAZIMIERZ.

U nas ratować bliźniego w każdym
przypadku jest powinnością, i za dopełnio-
ny czyn ludzkości nie zwykliśmy brać za-
płaty.

SZTEINBRUMER.

To piękne, bardzo pięknie, z tym wszystkim nie weźmiesz mi za złe, że się uraził, gdy mi doniesiono o twojej nieuwadze względem mojej córki.

KAZIMIERZ.

Córka Wpana Dobrodzieia jest godną ze wszechmiar, aby ją każdy kochał; możesz Wpan Dobrodziey wybierać iey męża podług własney woli, ależ cała iego władza....

SZTEINBRUMER.

Wiem co chcesz powiedzieć; trzeba jednak ulegać zwyczajom, już to od wieków bogaty zeni się z bogatą. — Widzisz, gdybyś się był udał do Akademii Niemieckiej, mógłbyś przy aplikacyi otrzymać jaki urządzik, a otrzymawszy go ręczę, pakowałbyś talarki do worków, wtenczas mógłbyś pomyśleć o żonce takiej, jaką jest moja córka.

KAZIMIERZ.

Przecież o tym tylko urzędniku powiedzieć można że poczciwie sprawował swój urząd,...

SZTEINBRUMER.

Kiedy zawsze jest gołym? oho, mój bracie, jeśli tak będziesz myślał, nie przydziesz nigdy do niczego.

KAZIMIERZ.

Rzekłbym: jestem w prawdzie nbogi, ale nie iestże to bydź bogatym, kiedy sumienie jest wolnym od wszelkich wyrzutów.

SZTEINBRUMER.

No porzućmy te morały; o czym innym mam z wami pomówić (*w ambarasie*) Podobno niektórzy z moich sąsiadów dla publicznego bezpieczeństwa, życzą swoim kosztem wystawić zbrojnych ludzi; otóż....

KAZIMIERZ.

Sami sąsiedzi, ich synowie i domownicy już są uzbrojeni; niektórzy już znajdują się w tey wsi; widzieliśmy ich teraz; łączymy się z nimi natychmiast, i przyszliśmy ukończyć z WPanem Dobrodzieiem....

BROWIUS.

(*cicho do Szteinbrumera,*)

No, Panie Teściu dobiłay WPan.

SZTEINBRUMER.

Zaraz, zaraz — Krótko mówiąc moi Panowie, ia muszę.... chciałem mówić, ży-

czę, czyli raczey chcę naśladować moich sąsiadów. — Sam dla mego wieku nie mogę to uczynić co oni; mój syn wyjechał do Królewca, spodziewam się, że WPanowie nie odmówicie mi tey grzeczności, abyście zostali z tych dóbr zastępcami. —

POCZCIWSKI,

Co słyszę!

KAZIMIERZ.

Ja z powinności jako młody, gdyż każdy Polak w tym wieku powinien być czynnym w świętey sprawie odzyskania Ojczyzny, a mój oyciec chociaż obarczony wiekiem, z goliwości wrodzoney Polakom, zaciągamy się pod chorągwie odradzających się ziomków, przeto WPan Dobrodziey....

BROWIUS,

(cicho do Szteinbrumera.)

Panie Teściu, co WPan mówisz? jeśli wszyscy ci nowo upiekli żołnierze tak myślą, nie wiem czy będą uciekać przed Kozakami. <http://rcin.org.pl>

SZTEINBRUMER,

(*cicho do Browiusa.*)

Cicho byłbyś Panie Zięciu. (*głośno*)
Wszakże i tak zostaniecie żołnierzami, a
mnie uwolnicie od ambarasu, — bo zda mi
się, że zasłużyłem na waszą ku mnie ży-
czliwość. A potym ia wam to nadgrdżę;
powiadał mi Krystyan, że mundury dla
zastępców mają gotowe ci [chmość, co są
na wsi, ia wszystko zapłacę.

BROWIUS.

A ia daruję Panu Poczciewskiemu te sto
talarków co mi winien, aby tylko iego sy-
nalek ztąd ustąpił.

SZTEINBRUMER.

Tak, tak, ia nadgrdżę.

KAZIMIERZ.

Nadgrdżę? Mospanie, nie doświad-
czyłeś tego, co to iest utracić to nieocenio-
ne dobro Oyczyznę, a zatym nie poymiesz,
iaka iest nie wysłowiona radość odzyskać
onę; nie znasz tego świętego obowiązku,
wszystko nawet i życie poświęcić dla iey
odzyskania, a taka powinna usługa nie mo-
że być nadgrdżoną. — Idźmy Oycze,

SZTEINBRUMER.

Zaczekay chłopcze, zaczekay — zanadto iesteś gorący. — Oyciec twóy ma więcey doświadczenia i wiem dobrze, że on....

POCZCIWSKI.

Synu mój, należy Jegomości dopomódz; dobrze mówileś, gdyby on doświadczył co to jest po haniebney niewoli i zniszczeniu wszystkiego, nawet imienia, skruszyć iarżmo uciskające, przemówić ięzykiem oyczytym i widzieć swe prawa zwrócone; gdyby on tego doświadczył, gdyby to czuć mógł, nie dziwowałby się temu, co uczynili wszyscy okryci siwizną Mazury i Wielkopole. — Wspomnienie, że ich nadzieia odniosła szczęśliwy skutek, wzmocniło osłabione wiekiem siły — Ale sprawa nasza jest dla Jegomości obcą, i iak sam mówi, dopełnia tylko tego, co iako dzisieyszý dziedzic tey ziemi dopełnić musi. — Kiedy żąda od nas przysługi, uczynmy ją, wszakże zawsze idziemy walczyć z naszymi odwiecznymi nieprzyjacioły, i lepiej, że nas obiera, niżby miał posłać takich, którymby równie iak iemu sprawa nasza była obcą, i równie iak on tey chwalebney powinności dopełniać

tylko musieli. — Tak Mospanie, masz WPan w nas swoich zastępców, ale pod warunkiem, że od nadgrodzie więcej nie wspomnisz. Już mi moje sprzęty, iakiekolwiek one były, nie są potrzebne; wartość ich i całoroczne zasługi moje blisko wyniosą tyle, ile wydasz za nasz mundur, i te sto talarów, które zechcesz wypłacić temu Jego. mości; a jeżeli co nie dostanie, ręczę słowem honoru, że za pierwszą sposobnością wrócę mu wszystko.

BROWIUS,
(*cicho do Szteinbrumera.*)

Panie Teściu, co WPan mówisz, bo ja myślę, że jeśli oni są wszyscy tacy, iak ten starowina, to się przeciwnie stanie, i nie oni przed Kozakami, ale Kozacy przed nami zmykać będą.

SZTEINBRUMER,
(*cicho do Browiusa.*)

Baiesz sam nie wiesz co Panie Zięciu.
(*głośno*) A zatym niechże i tak będzie, więc zgoda?

POCZCIWSKI.

Składam tedy rachunki.

SZTEINBRUMER.

Zostaw ich WPan, sam mogę ręczyć za ich rzetelność, chciey tylko iako nayprędzey udać się do tych Jchmościów z oświadczeniem, że iuż to uczyniłem, co moi sąsiedzi, że wszystkiemu zadość się stało, aby tu nikt nie przyszedł.

KAZIMIERZ.

WPan Dobrodziey nie życzysz widzę znajdować się w towarzystwie naszych kolegów; iednak nie odmówisz mi tey iedney grzeczności, abym mógł pożegnać iego szacowną córkę. Powrócę wkrótce w sukni, iaką iuż mają honor nosić powstający Polacy. (*Odchodzi z oycem.*)

S C E N A IX.

SZTEINBRUMER i BROWIUS.

SZTEINBRUMER.

Tysiąc cetnarów ołowiu zwalono z moiego serca; na dobrze, że tak się stało, iak tylko przyjdą Kozacy, obaczym...

BROWIUS.

Ey Panie Teściu!

SZTEINBRUMER.

Do diabła Panie Zięciu! wielki ż ciebie

bayduła, lada ciura może ciebie przestraszyć. Myślmy oto o twoim weselu, nie ma czego czekać, wezmiesz już raz moją córkę, a tak pozbędziesz mnie kłopotu ustawicznie zbijać te zarzuty, które tobie czyni. Zaproszeni goście mają się dzisiaj zgromadzić, a jak jeszcze Kozacy przyjdą, ich officerowie pomnożą kompanią: Stół zastawim suto; sprowadziłem pierniki z Torunia. Szkoda tylko, że mego kochanego Fryca nie będzie.

BROWIUS.

Nie mogę pojąć, dla czegoś WPan Panie Teściu swego syna tak nagle wyprawił; jeszcze wczoray o jego wyjeździe nic nie było słyhać, a dziś ni ztąd ni zowąd prawie w iedney godzinie....

SZTEINBRUMER.

Wiesz Panie Zięciu, że mego syna kocham do szaleństwa, ou ieden jest mi najmilszym na świecie, a po nim pieniądze; muszę ci się przyznać, że gdybym naprzykład przez iaki naynie-szczęśliwszy przypadek miał stracić moje pieniądze i mego syna, pewnobym się powiesił. Otoż, lubośmy się nie mieli i nawet w żaden spo-

sób nie mogli obawiać Francuzów, gdy jednak jedynie dla potrzebney ostrożności, z Warszawy powysyłano kassy do Królewca, ja dziś rano upakowałem moje 60 tysięcy talarków, i przed godziną wysłałem je z moim synem do Królewca. Oy tak Panie Zięciu, nic człowiek ■■ świecie nie znaczy bez pieniędzy.

PIOSNECZKA.

Za pieniądze wszystko będzie,
Urząd, tytuł, wzgląd, ukłony;
Lubią cię, ściskają wszędzie,
Gdy czuiał w kiesie dublony,
Szpieg ci uda patryotę,
Zapłać, żona męża zwiedzie,
Poeta ci przyzna cnotę,
Kto dziś smaruje, ten iedzie.

Mądryś, nikt się nie zadziwi,
Choryś, nikt się nie zlituje,
Skrzywdzonyś, wszyscy są tkliwi,
Ale nikt nic nie daruje.
Traktuy ponczem i Szampanem,
Miey huk gości na obiedzie,
Szanią cię, zowią Panem,
Kto dziś smaruje, ten iedzie.

Xiądz przysięga na ubóstwo,
Zołnierz że na honor służy;
Temis, to sądzące bóstwo
Sprawiedliwość darmo wruży;
Przecież Xiądz łakomo chwytą,
Zołnierz łupu nie odiedzie,
Wygrać sprawę rzecz nabyta,
Kto dziś sinarwie ten iedzie.

BROWIUS.

Masz WPan recht Panie Teściu, szkoda, szkoda, że i ia tak nie zrobiłem.

SZTEINBRUMER.

Powiedz też mi Panie Zięciu, tylko szczerze, wiele masz w gotowiznie?

BROWIUS.

Nie wiele, chociaż iuż iestem czwartym rok Kreys-Richtrem.

SCENA X.

DAWNI, POCZCIWSKI i KAZIMIERZ,

*(w mundurach Pospolitego Ruszenia
Woiewództwa Mazowieckiego,)*

SZTEINBRUMER.

No no no? tak prędko?

POCZCIWSKI.

Uznano nas za WPan Dobrodzieia zastępców, oto iest zaświadczenie.

BROWIUS.

Nie mogę wam się napatrzeć; — oy oy
Panie Teściu, co WPan mówisz? jakim u
kata sposobem mogliśmy się doczekać wi-
dzieć takich Jchmościów?

SZTEINBRUMER.

No no... niechno tylko....

BROWIUS (*cicho do Szteinbrumera.*)

Nie mówże WPan nic przynajmniey
przy nich o Kozakach.

(SZTEINBRUMER *(do Kazimierza.)*)

Wież tu jest takich WPanów?

KAZIMIERZ.

Kilkanaście koni.

BROWIUS.

Dalibog śliczny chłopak — o co teraz
nie ma zgody, żebyś się widział z moją
Milchen; — kobiety mają słabość lubić nad-
zwyczaj mundury.

KAZIMIERZ.

PIOSNECZKA.

I.

Ta suknia co mnie dziś zdobi,
Imieniem Oyczyzna Syna,
Niech mi mój cel przypomina,
Do iey obrony sposobi.

Jak miło będzie w tey dobie,
Gdy braci oswobodziemy,
Modz w duszy powiedzieć sobie,
Jam pomógł piersiami memi.

2.

Nie na tym tylko zależy,
By kto wdział mundur z młodzieży,
I ztąd szukając zalety,
Chciał nim podbijać kobiety.
Lecz w pole walki niech biegnie,
I w sprawie tak znakomity,
Lub niechay w boiu polegnie,
Lub wróci laury okryty.

S C E N A XI.

DAWNI, KRYSZYAN i JOHAN.

KRYSZYAN (*wrzeszcząc mocno.*)

Hey! hey! łaskawy Panie ratuy! ra-
tuy!

SZTEINBRUMER.

Do diabła co to iest?

KRYSZYAN.

Kozaki! Kozaki!

SZTEINBRUMER (*z radością.*)

Co Kozaki? gdzie gdzie, aha wikto-
rya, gdzie oni są?... ale co tu robi Johan?
wszakżeś ty wyiechał z moim synem?

JOHAN.

Ledwieśmy uiechali ćwierć mili, bo droga zła straszliwie; aż napadli na nas Kozaki.

SZTEINBRUMER.

NO i cóż ztąd?

JOHAN.

Ot cóż więcey bydź miało, porwali to wszystko, co było na bryce i Pana Fryca także.

SZTEINBRUMER.

Co mego syna? chyba zwaryowałeś.

JOHAN.

Nic nie pomogło, choć Pan Fryc krzyczał, że iest synem Jegomościnyń, nie zważali na nic, porwali go pomiędzy siebie i wszystkie baryłki z bryki.

BROWIUS.

Nieborak! a co Panie Teściu? wiktorya!

SZTEINBRUMER.

Um gottes will! mój Fryc, moy najmilszy syn! moje pieniądze! a coż mi te-

raz po wszystkim na świecie? (*rzuca się na krzesło.*)

KAZIMIERZ.

(*porywając Johana za rękę.*)

Przyjacielu, daleko to się stało?

JOHAN.

Nie masz i pół mili.

KAZIMIERZ.

Wieleż ich tam być mogło?

JOHAN.

A diabełże ich mógł porachować, iam ledwo nie zdechtł ze strachu, ale jest ich tam nie mało, przynajmniey piędziesiąt.

KAZIMIERZ (*dobywszy pałasza.*)

Moy Oycze!

POCZCIWSKI.

Rozumiem cię mój najmilszy synu.
(*dobywa swego także pałasza.*)

KAZIMIERZ.

Uściśnij mnie mój Oycze! (*przyciska Oycę do swoich piersi i kięka przed nim*) Niech twoje błogosławieństwo nada mi twoiey doświadczoney odwagi!

POCZCIWSKI,

(rozczulony obejmuje rękami głowę syna; jego życzenia i zapach malują się w całym jego poruszeniu.)

KAZIMIERZ.

(wznosząc swój pałasz do góry.)

Boże ojców naszych, szczęście tej pierwszej probie! *(odchodzi z Oycem.)*

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

SCENA I.

EMILIA i LIZETA.

Ah przebog! zaspokoy moją równaiącą się śmierci niecierpliw ść; iakże to było? mów wszystko, nic nie opuszczając.

LIZETA.

Jam tylko widziała przez okno, iak Pan Poczciwski i iego syn wypadli z pałacu z dobytymi pałaszami, pobiegli do stayni, i w oka mgnieniu iuż na koniach galopowali na wieś; natychmiast z temi żołnierzami co dziś tu przybyli, tak prędko, iak ptaki polecieli wielkim gościńcem, cała wieś ze łzami życzyła im szczęśliwey drogi. Ale ale, iam nie poznała Pana Kazimierza, a wszak to on tak ślicznie ubrany, tak dobrze wygląda, żebym go ziadła.

EMILIA.

O Boże! cóż się z nim stało?

A R T A .

Wpośród tak dręczącej trwogi
Radość me serce przeymuie.
Ah gdzież iesteś o mój drogi?
Czuieszże to, co ja czuie?
Obyś w każdey świata stronie,
Smutney nie doznał przygody,
I na szczęśliwości łonie
Znalazł cnot swoich nadgrody.

Idź idź kochana Lizeto, czy się czego nie dowiesz na wsi, a gdybyś co usłyszała, przybiegay tu iak naysprędzey i opowiedz wszystko.

LIZETA.

Biegnę Mościa Dobrodziko!

(*odchodzi.*)

S C E N A II.

EMILIA (*sama.*)

Luby Kazimierzu! mamże cię obwiniać o to, żeś się oddalił odemnie, a nawet bez pożegnania; mogłażbym powątpiewać o twoim ku mnie przywiązaniu? (*postrzegając Browiusa*) O Boże! ten obmierzły człowiek. (*chce odejść.*)

S C E N A III.

EMILIA i BROWIUS.

BROWIUS.

Hey hey, śliczna Panno, iedno słowo!

EMILIA.

Cóż tam?

BROWIUS.

Nie wiem, czego zawsze zmykasz przedemną, iak dłużnik przed kredytorami.

EMILIA.

Oh WPan iesteś...

BROWIUS.

Ja wiem, czym iestem dla WPanny (*klepiąc ją po twarzy*) du du mein szac....

EMILIA.

Do podobnych czułych karessów; nie iestem przyzwyczajoną.

BROWIUS.

Przyzwyczaisz się, przyzwyczaisz wkrótce, ale powiedzże mi, co się tu działo; bo mnie tak przestraszyli te waryaty, iak dobyli pałaszów, że się pod strych schowałem; szczęściem, czegoś tam szukała Wilhelmina, od ktòrey się dowiedziałem, że Panowie zuchy, tak uciekali ze wsi, aż się za nimi kurzyło; gdzież iest Pan Teść?

ey do diabła, czy się tylko nie powiesił po stracie Fryca i talarów — ale nie... bo oto idzie.

S C E N A IV.

DAWNI i SZTEINBRUMER,

SZTEINBRUMER. (*wybladły.*)

Emilio! widzisz teraz swego oycę pogrążonego w smutku, którego chyba sama śmierć zniszczyć potrafi; moje talarki; a nawet i mój najmilszy syn...

EMILIA.

Jak to mój oycze... mój brat!

SZTEINBRUMER.

Nie masz już brata, a ja nie mam tego wszystkiego, co mi było w życiu najmilszym.

EMILIA.

Przebóg! mój brat?....

SZTEINBRUMER.

Porwali go te północne łotry. Teraz to dopiero, ale zbyt późno, poznaię, w jaką nas ich przyiaźń pogrąży a przepaść. — Możnaż było ufać rabusiom!

BROWIUS.

Ey co tam Panie Teściu, talarki rzecz nabyta, znowu możesz WPan zostać Ju-

styc-Ratem, żałuję tylko syna WPana, i że moje wesele dla tego odwlec się może.

EMILIA, *(kłęcząc.)*

O mój oycze! jeszcze WPan Dobrodziey posiadasz majątek w ziemi; a jeśli to jest prawdą; żeś utracił syna, nie chieyże gubić pozostałej ci córki, śmiercią bowiem byłoby dla mnie połączenie się z człowiekiem, do którego nie mam przywiązania. Poświęcę wszystkie dni moje i całą usilność, na osłodzenie tej goryczy, iaką się teraz napawasz!

SZTEINBRUMER.

O mój synu! *(tu słyhać za teatrem odgłos trąby.)*

BROWIUS.

Cóż to jest?

EMILIA, *(powstawszy.)*

Oh! iakaż radość napełniła me serce, ten odgłos jest przepowiednią mojego szczęścia!

BROWIUS.

To zapewne muzykanci przyiechali na moje wesele. — No no Panie Teściu, nie gnieway się WPan lada o co. — Ja mam rezygnacyą na wszystkie wypadki.

SCENA V.

DAWNI i FRYDERYK.

FRYDERYK (*wpada w ubiorze podróżnym, rzuca się na łono oycza.*)

Oycze!

SZTEINBRUMER,

(*prawie odeszły od siebie.*)

O nieba.... senże to?... syn.... syn mój; przez iakiż cud?

EMILIA.

Bracie!

FRYDERYK.

Ci, którychś miał, mój oycze, za naszych przyjaciół i ołrońców, ci wydarli tobie syna i twoje dostatki. Na próżnom im powtarzał, czym jestem synem; nienasycone ich łakomstwo, nie dopuściło słuchać żadnego głosu, ani nawet głosu liłości; — moje tłumaczenie się wzięli za zachwalstwo warte odebrania wolności; — już skępowany i wleczony pomiędzy końmi, przebyłem wraz z rabusiami kilka staj, gdy oto nagle rozpierzchną się moi tyrani, widzę kilkunastu zbrojnych; ich ubiór nieznan mi totąd, nabawił mnie nową trwogą; wtym wystrzały dały mi

poznać, że muszą to być przeciwnicy tych, którzy mnie uiarzmili; wzmaga się żywa walka, Kozacy, jedni padają pod zamachem zwyciężkiego pałasza nowo przybyłych, drugich widzę już tak iak mnie skrępowanych, reszta pierzcha z pośpiechem; lecz podziwienie moje było wten-cas nadzwyczajnym, gdy ten, który pierwszy potargał me więzy, był to Kazimierz, syn naszego ekonoma.

EMILIA. *(do siebie.)*

O Nieba! cóż wyrówna moiej radości.

SZTEINBRUMER.

Gdzież on jest? gdzie on jest? on mi przywraca syna, on mi przywraca całą moją pociechę.

FRYDERYK.

Wszystko to coś mi oycze polecił za-wieść do Królewca....

SZTEINBRUMER,

(z największą niecierpliwością.)

No i cóż?

FRYDERYK.

Było już wtręknąć iupieczów.

SZTEINBRUMER.

Um gottes will.... a teraz?

FRYDERYK.

Również iak twego syna mężni Polacy wydarli łotrom i wracają właścicielowi.

SZTEINBRUMER.

Oddycham! ale gdzież oni są?

FRYDERYK.

Otoż przychodzą wszyscy.

S C E N A VI.

DAWNI, POCZCIWSKI, KAZIMIERZ *i wielu Rycerzy z Pospolitego Ruszenia, kilku z nich prowadzą rozbrojonych Kozaków.*

KAZIMIERZ *(do Szteinbrumera.)*

Chociaż WPan nie życzyłeś widzieć moich kollegów, iednak....

SZTEINBRUMER.

Ey co WPan Dobrodziey mówisz mój Mości von Poczciwski, to był tylko maluteczki żarciczek; o mój wybawco! słów mi nie staie.

KAZIMIERZ.

(wskazując na Kozaków.)

To są ci, którzy na tym swą wielkość

zakładają, że dotąd umieli niszczyć cudze własności.

SZTEINBRUMER,

(zaglądając w oczy Kozakom.)

O du Szurke — ale ich było tak wiele a was tylko kilkunastu, iakże potrafiście ich pokonać?

KAZIMIERZ.

Tłuszcza podłych naieżdników, zwykła pierzchać przed polyskiem pałasza będącego w ręku tego, kto go dobył na obronę swojej Ojczyzny!

SCENA VII.

DAWNI, KRYSZYAN i JOHAN,

(tocząc baryłki napelnione pieniędzmi.)

- KRYSZYAN.

A gdzież to mamy podziac?

SZTEINBRUMER.

(w najwyższej radości.)

Ah ah moje talarki, co widzę? znowuż ie odzyskuię — (siada na baryłkach) ale moi Panowie tu są ci brodacze, a wiecie o ich zręczności, gotowiby i teraz....

KRYSZYAN.

Niech się Pan nie b i, oni tylko w szczęściu umieją byc hardemi, ale niech no się

noga powinie, żaden z nich ani brdąknie — a do tego cała wieś dwór otoczyła, krzyczą znowu wiwat, i gości huk iedzie — a cóż nie mówilem?

S C E N A VIII.

Dawni, wiele osób płci oboiej wchodzi, wszyscy witają Rycerzy, okazując największe ukontentowanie.

SZTEINBRUMER.

Moje Państwo wdzięczem iestem niewymownie za uczczenie mnie ich przytomnością; radości moiej nic nie wyrówna, zapominam o wszystkim, kiedy nad wszelkie spodziewanie odzyskuję syna i te....

BROWIUS.

I te baryłki z talarkami, ia wiem Panie Teściu, żeś WPan miał to powiedzieć!

SZTEINBRUMER *(do siebie.)*

Nie wiem jak tu sobie poradzić, otoż znowu iestem między kowadłem i młotem. *(głośno)* Boię się Mości von Pocziwski wspomnieć o nadgrodzie....

FRYDERYK.

Mój oycze, pozwol abym cię wyreczył — miałeś mnie za straconego — odwa-

dze Polaków winienesz odzyskanie syna twego — tych Polaków, z którymi ja od młodości przestając doświadczyłem, że są w całym znaczeniu tego słowa uczciwi. — sami teraz widzimy ich wyższość nad nami, kiedy jako zwycięzcy umieją się wspólnie obchodzić z temi, którychby mogli poniżyć — (*do Kazimierza*) Ty poczciwy człowieku, zaszczyłaś mnie twoją przyjaźnią, obcując z tobą nauczyłem się poważać te cnoty, które nam kazano nazywać zbrodniami. Tyś mi przywrócił wolność. Oycze! wspomniałeś o nadgrodzie, winienesz ją, o wiem ja, czymbym memu wybawcy wywiązać cię można i spodziewam się, że tego daru nie odrzuci; czy pozwalasz oycze, abym ja miał to szczęście sam mu ją ofiarować? — (*kłęcząc*) Oycze syn twój o tę jedyną łaskę dla siebie uprasza, czy pozwalasz?

SZTEINBRUMER,

(*prawie z płaczem.*)

Pozwalam (*cicho do syna*) um gottes will, przynajmniey nie wiele, a naybardziej, żeby z tych baryłek nic nie ruszać!

FRYDERYK.

Mam więc zupełnie oycowską władzę.
(*bierze Kazimierza za rękę i rzuca go w
objęcia swej siostry*) Poczciwy przyjacielu,
oto twoja żona.

SZTEINBRUMER.

No, czy tylko to?... z Panem Bogiem
niech ją sobie bierze (*cicho do syna*) Fry-
cku bardzo dobrze zrobił, iam myślał, że
ty chcesz im talarki szafować.

EMILIA.

O mój Kazimierzu!

KAZIMIERZ.

O jakżem szczęśliwy, że już jako Po-
lak i choć w części mściciel nieprzyjaciół
mojej ziemi tę szanowną otrzymuję rękę.

POCZCIWSKI,

Dzieci moje! dziś dopiero po trzyna-
stu latach pierwszy raz mogę się znowu
nazwać szczęśliwym. Kazimierzu, twoje
wszystkie nadzieje widzisz spełnione, nie
możesz jednak zaślubić ją wprzód, aż
skończysz twój zawód chwalebny. Gdy
los naszej Ojczyzny ustalonym zostanie,
wtenczas na łonie powszechnego szczęścia
i obok cnotliwej żony spocziesz swobo-

dnie, wtenczas powtórzę moje oycowskie błogosławieństwo i życzenia, aby plemię twoje doczekało takich czasów, w iakich żyli ci, „którzy rozkazywali dworowi „Brandenburgskiemu, panowali w Mo- „skwie, oswobodzili Wiedeń i całe Chrze- „ściańskstwo uwolnili od haraczu Ture- „ckiego.“

BROWIUS.

Panie Szteinbrumer, wszakże WPan mówił, że iak Kozacy przyidą, to pcmnożą kompanią na moim weselu. No, wszystko się odmienia iak widzę, i niczemu na świecie dziwić się nie trzeba. WPan nie- przyiacioł znayduiesz w Kozakach... a ia utracam żonę. Ale niech się ci młodzi że- nią, kiedy się kochają. Ja umiem kaźde- mu i sobie oddać sprawiedliwość, a zatym lepiej podobno uczynię, kiedy pomyślę zawczasu o sobie, bo widzę teraz i sam ro- gaty diabeł nic wam nie poradzi (*odchodzi.*)

SCENA IX. I OSTATNIA.

SZTEINBRUMER.

Das ist ein abszeilicher Kerl.

KRYSTYAN.

Muzykanci przyiechali.

FRYDERYK.

Oycze! Spodziewam się, że ci wszyscy Panowie zostaną u nas na wieczerzy. Dzieci twoje, ci wojownicy i szanowni sąsiedzi mają słuszny powód być wesółmi. *(do Krystyana)* Wprowadź tu muzykantów.

SZTEINBRUMER.

(zimno)

Tak tak... bardzo proszę *(do siebie)* gots donner wetter, proszę uniżenie, czegoś się też musiał doczekać.

W O D W I L L E.

KAZIMIERZ.

Przyszedł czas dzielni młodzieńce,
Zemścić się Oyców zniewagi,
Wznović Dubienkę, Zieleniec,
Pokonać morderców Pragi.
Zwyciężaliśmy ich nieraz,
Zygmunt wzgardził Ruskim tronem,
Czegoż nie dokażą teraz,
Sarmaci z NAPOLEONEM.

POCZCIWSKI.

Sławmy więc Zbawcę naszego,
Wskrzeszeni synowie Piasta,
Na widok Orła złotego,
Nasz biały Orzeł porasta.

Oswobodziwszy pogonie,
Gdy mu tak niebo przyiazne,
Bolesław w Napoleonie,
Wróci nam słupy żelazne.

EMILIA.

Gdyby tak opatrność chciała,
(Mowiła Kasztelanowa)
Byś mężem Polaka miała,
Pomniy na te moje słowa:
Kray i męża kochać wiecznie,
W cnocie wychowywać dziatki.
Rządzić domem użytecznie,
Oto jest obraz Sarmatki.

SZTEINBRUMER.

Człek codzien mędrszym się staie,
Wyznay teraz Szteinbrumerze,
Ze lepszy ten co oddaie,
Anizeli ten co bierze.
Góż robić — Wir bleiben hier,
Gdy nie pomogli Kozaken,
Palmy knaster, piimy bier,
Es leben hoch die Polaken!

*Rycerze i Goscie formwina Balet za-
czynajac go od tańca* (Polskie)

K O N I

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

B I <http://ocm.org.pl>

02 330 Warszawa, ul. Nowy Świat 74

Tel. 76-68-63



F

23.276